Ner 46. Kraków, 18go Listopada. 1861.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. . a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

O Zbytku.

(Zobacz Nr 44).

II.

Państwo na śmierć choruje, w którem się zbytnie bankiety i stroje znajdują.
Reformacya zepsowanych obyczajów. Ks. Szymon Starowolski.

Powiedzieliśmy wyżej, iż niewiasty przeważny wpływ wywierają na szerzenie się zbytku, wytłumaczyć się pokrótce musimy z tego założenia. Przeznaczeniem niewiasty, celem jej żywota, jest domowe rodzinne ognisko; przy tem ognisku skupiać ona winna całą działalność swoją, przy niem czeka ją praca choć mozolna lecz wdzięczna, cicha lecz w doniosłościach swoich ogromna. Niewiasty wychowują naród, przeto przy ogniskach rodzinnych stać powinny jak kapłanki poświęcone miłością, strzegąc domowych progów, strzegąc cnót rodzinnych. W domowych ogniskach spowita przyszłość narodu, z domowych progów kiedyś wyjdzie pokolenie młode takie, jakie wychowa niewiasta, i wyjdzie ono lub z gorejącą miłością i wiarą, lub z sercem cynicznem i zimnem jak głaz; pojmująee cel i trud żywota, hartowne i dzielne, lub niezdolne do wznioślejszych podnieść się uczuć, do czynów obywatelskich niezdolne. Przy rodzinnych ogniskach zaklęta jest przyszłość narodu, i w rękach złożona niewiast, wpływ ich więc wielki, a doniosłość tego wpływu sięga najważniejszych szczegółów życia. Niewiasty przykładem też i słowem powinny być zawsze na wysokości posłannictwa swego, a jeżeli się oddadzą z poświęceniem obowiązkom swoim, to już im samym nie stanie czasu, a braknie woli do zbytku...

Zbytek jest skutkiem lekkomyślności umysłu i próżni serca, i da się tylko domowem wykorzenić wychowaniem, więc wpływem niewiast. Wychowanie domowe niech będzie pełne grozy moralnej, pełne powagi, zwrócone do wyższych celów, a nie do zewnętrznych tylko błyskotek; nie do pobieżnego zaczerpnięcia wiadomości; nie do próżnych małostek, przyczyniających się tylko do zamiłowania zbytku. Bo gdzie blichtr zewnętrzny wewnętrzną przeważa wartość; gdzie świetna wystawa, lub strój piękny przeważa wartość serca i wykształcenie umysłu: tam granicy już niema, jest to już równia pochyła, ślizga jak polerowana stalowa płyta. Łatwo bardzo dziecko, które tylko formy pojmuje, rozmiłować w błyskotkach; nic łatwiejszego jak kosztem przyszłości jego rozmiłować je w zbytku — nie wiele do tego potrzeba. A jeszcze nie dość na to zwrócono uwagi; jakże często matki od lat najmłodszych uczą dzieci cenić strój, ubierając je zbytkownie, nieraz dla własnej próżności tylko ubierając je wytwornie jak lalki, zaczem dzieci na skromnie lub ubogo ubranych już z lekceważeniem patrzą. W młodociane ich serca wślizga się robak pychy i próżności. Jakżeż często młode panienki nieznają jeszcze historyi własnego narodu, a znają przewybornie wszystkie szczegóły tualety; nieznają królów polskich, a wymieniają na pamięć wszystkie modniarki paryskie.

Czyż tym sposobem matki nie wszczepiają w nich od dzieciństwa zamiłowania do zewnętrznych błyskotek, nie uczą zbytku?... I jestże się dziwić czemu, jeżeli dorosła dziewczyna—przyzwyczajona do świetnego ubrania, do wystawnego życia, przejęta niem i w niem rozkochana—niemarzy o niczem, tylko o dogodzeniu swym zbytkownym zachceniom? że nie marzy tylko o koronkach brabanckich, o szalach perskich, o jedwabiach liońskich, o aleksandrynie? Próżność, wpajana w nią od dzieciństwa, każe poświęcać wszystko dla zewnętrzności, wszystko dla świata; próżność każe roztrwonić skarby cichego szczęścia, każe dla jednego poklasku strwonić szczęście domowe, dla jednej chwili błyszczenia spokój życia...

Dziwne jest, że ogólnie wychowanie dziecięce obliczone jest na pewność wielkiej wygranej w loteryi życia, do wygranej tej starają się dzieci *cout qui cout* usposobiać; nikt w własnej sferze pozostać nie chce, każdy patrzy na wyższy szczebel, tusząc, iż jakimsiś cudem wyniesie go nań Opatrzność. Życie nad stan jest na porządku dziennym, nikt nie chce być samym sobą, nikt nie ufa wartości swej moralnej i intellektualnej, chodzi na palcach by się tylko wyższym wydać. Jakieś jest falowanie do zewnętrznej równowagi; do tej dążą szczodrzej obdarzeni od Boga, dążą do równowagi najczęściej kosztem własnej godności i własnego spokoju.

Pewną jest, że życiem nad stan majątkowy objawia się obecnie zbytek, bo zda się że zbytku niewidać, i nie jest on przynajmniej tak rażącym jak dawniej, rozczynił się bowiem w tym ogólnym kataklizmie, porywającym wielu, w kataklizmie życia nad mienie i środki.

Wprawdzie życie nad stan jest mniej krzyczące jak zbytek właściwy, jednakże w następstwach swoich wiedzie ono rodzinę do upadku, społeczeństwo do demoralizacyi, każe ono wiecznie Tantala pragnieniem patrzeć na materyalnie szczęśliwszych, każe nienawidzić stanowiska swojego, każe wszelkiemi środkami wydobyć się z niego — środkami, jakie nasuwają się pod rękę.

Życie nad stan w domowem zaciszu zaszczepia fałsz i obłudę, gorycz i żółć; życie nad stan rozwalnia familijne węzły, sprowadza upadek rodziny. W domu, gdzie życie nad stan, dzieci uczą się na nie od lat najmłod-

szych z fałszywej strony zapatrywać; uczą się pozór brać za treść, uczą się kłamstwa; tracą szacunek dla rodziców, a świat biorą za arenę, na której się ustawicznie wielka odgrywa komedya. I z domów takich jakież pokolenie wyjdzie?... jakich mężów dostarczy krajowi? dziewica wychowana w domu takim, jakąż będzie żoną, jaką matką?... czy skromne zacisze wiejskie, czy praca i obowiązki domowe jej wystarczą? i czy im odpowie?....

Jeżeli nie znajdzie zaspokojonych wszystkich zachceń swoich, nie będzież się miała za zapoznaną, niezapraważ serca goryczą; nie będzież żądać zawsze wystawy, błyskotek, nie pytając zkąd ich i jakim sposobem otrzymać można?... Ileż to razy życie nad stan tłumaczą sobie przysłowiem: „jak cię widzą, tak cię piszą“, przysłowiem tak jędrnem prawdziwie, lecz branem jednostronnie tylko i to z ujemnej strony. Prawda, że jak cię widzą tak cię piszą. Poddanie się człowieka pod nieubłagany trybunał sądu ludzkiego ma wielką moralną doniosłość, każącą, oprócz przed sądem własnego sumienia, zdawać sprawę z czynów swoich przed sądem współczesnych. Prawda zawarta w tym przysłowiu, wymaga pracy i poświęcenia... lecz nigdy zbytkownych strojów, nigdy świecideł, pojazdów, galonów, brylantów i pereł. Przejęcie się myślą przysłowia przytoczonego wprząga w ustawiczną pracę, w ustawiczne skarbienie opinii ludzkiej, zasługi.

Jakżeby więc z przysłowia tego dała się wyprowadzić konsekwencya życia nad stan? obywatelski rozum naszych ojców w przysłowiu tem głęboką filozoficzną zostawił nam prawdę. Niechże nas nie zachęca do grania komedyi w życiu. A życie nad stan jest bolesną komedyą, graną kosztem spokoju i szczęścia... Przed kim i dla kogo? Przed kim, czyż możemy sądzić, aby ogół patrzący tysiącami oczu dał się zwieść blichtrem.... dał się omylić pozorem... dla kogo, czy dla nas? a ileż upokorzeń, ile spokoju kosztować nas musi, sprowadzając w ostatniej scenie nieubłaganą Nemezis skutków?

W. B. K.

MARYA KAZIMIERA,

KRÓLOWA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

IV.

Zamierzając tu podać niektóre szczegóły z życia Jana Sobieskiego, nie zamierzamy bynajmniej opowiadać o wszystkich czynach jego, któremi doszedł do tak wielkiej chwały, jaką go cała Europa otoczyła, przedmiotem bowiem naszej rozprawki jest tylko żona jego; o tyle jednak widzimy konieczność określenia przeszłości jej męża, o ile ta w najściślejszym jest związku tak z ogólnem tłem naszego opowiadania, jako też ze szczegółami życia Maryi Kazimiery.

Jan Sobieski urodził się w Olesku na Rusi z Jakóba i Teofili Daniłowiczownej, wnuczki Żółkiewskiego, roku 1629. Potomek po kądzieli wielkiego bohatera, który w wojnach za wiarę św. stał się wzorem dla całej swej rodziny, przekazując jej niejako w tradycyjnej spuściźnie dokonanie zemsty za krzywdy jemu przez pogan wyrządzone. Jan Sobieski urodził się na mściciela tych wszystkich krzywd dziada swojego. „Tradycya familijna silnie przechowała się w Janie Sobieskim, czuł on jaka powinność cięży na nim, i poczytywał ją przeto za główne zadanie życia. Rola mściciela owładnędła jego przekonanie, kierowała każdym krokiem“ [1]), bo czuł we krwi swojej dziada na pogan zawziętość, i najważniejszą zawodu jego dążnością były *„wojny pańskie“*, które sam opisuje, a które we krwi skrapiającej ziemię pogańską zostawiły mu *„okazyą zemsty i niby jakąś przyrodzoną domu jego z pogany antypatyą.“* Wychowany w świętych zasadach wiary katolickiej, pod okiem znanego w kraju z zasług i męztwa ojca swego, pod dozorem Orchowskiego, opatrzonego w surowe a mądre dane mu na piśmie instrukcye, wysłany był wraz z bratem swym starszym Markiem, na nauki do Krakowa, gdzie „o to się starał, żeby między rówienniki nikomu nie dał się wyprzedzić“ [2]). Celując we wszystkiem, a mianowicie w językach, ukończył Jan szkoły r. 1644. Wtedy zaś, nic innego za przeznaczenie sobie nie kładąc, jak tylko zawód rycerski — dla wykształcenia się lepszego i, jak K. J. Rubinkowski powiada, „dla poloru“ wysłany był za granicę. Bawiąc lat kilka w Paryżu, gdzie zaprzyjaźnił się z księciem Kondeuszem, sławnym już natenczas we Francyi, i jak najusilniej do nauk stanowi rycerskiemu potrzebnych przykładał się. Gdy już do ojczyzny powrócić zamierzał, odbył wraz z bratem podróż do Włoch i Turcyi. Ta podróż do Turcyi była dla niego niejako obowiązkiem, koniecznością. Przeczuwając już bowiem przyszłe swoje powołanie, pragnął poznać konieczne tych, na których się ono spełnić miało. K. J. Rubinkowski w swojej Janinie, przywiódłszy ważne a straszne dla Mahometan proroctwo Achama, wielkiego filozofa tureckiego, że król chrześciański niezadługo „z wielkiej żarliwości ku swojej religii“ potęgę Turcyi obali do szczętu, powiada, że to proroctwo „tak niebezpiecznie na życie Jana Sobieskiego, młodego natenczas, następowało, że przez całą bytność swoją w Turczech kryć się musiał.“ Przeczuli więc według niego i Turcy w Janie Sobieskim mściciela przyszłego, i obawiając się spełnienia owego proroctwa czyhali na jego życie.

R. 1648 zmuszeni byli Sobiescy powrócić do ojczyzny. Dziewiętnastoletni bowiem Jan opłakiwać musiał w tym roku skon swego najukochańszego ojca. Czując zaś w sobie dość już sił do wstąpienia w upragniony zawód, gdy nadto zaburzenia krajowe wszystkich wiernych synów ojczyzny pod sztandar wojenny wzywały, rozpoczyna wkrótce Jan świetne czyny swoje, starając się według słów autora Janiny „aby Marsowi oddał serce i ręce; mając to zawsze za ślub (in votis), aby kiedy w nim to się spełniło co mu pogaństwo rokowało, i czego się w Konstantynopolu lękali Bisurmani.“

Nieszczęsna wojna z Chmielnickim, poczęta jeszcze za Władysława IV, za Jana Kazimierza niszczyła okropnie kraj polski. Aleksander Koniecpolski i Jeremiasz Wiśniowiecki wszystkiemi (a małemi) siłami przełamują napady wielkiego nieprzyjaciela, Jan Sobieski, pod jednego sztandar zaciągnięty, stawa przeciw Chmielnickiemu, niegdyś wiernemu domownikowi jego rodziny, i w *Zbarażu*, gdzie Koniecpolskiego zamknął nieprzyjaciel, bierze pierwszy raz w swem życiu udział w walce. Przybycie króla Jana Kazimierza na odsiecz zamkniętym, uwalnia ich od Chmielnickiego. W podobny jednak sposób zostaje sam król zamkniętym pod *Zborowem*; Sobieski był i w tym ogniu, tajemne jednakże negocyacye z hanem tatarskim posiłkującym Chmielnickiego, pozbawiającego zdrajcę pomocy Tatarów, zmu-

---

[1]) Lucyan Siemieński.
[2]) Jakób Kazimierz Rubinkowski. Janina zwycięzkich tryumfów itd. Jana III. 1739.

szają do odwrotu i do zawarcia z królem polskim układów.

Pierwszą jednakże rzeczywistą kampanię odbył Jan Sobieski r. 1651 pod *Beresteczkiem*. Król Jan Kazimierz prowadził 100,000 wojska, lecz nieprzyjaciół trzy razy więcej na niego czekało. Przyszło do krwawego starcia. Polacy zupełne odnieśli zwycięztwo. Chmielnicki poddał się królowi. Jan Sobieski odniósł w tej bitwie ranę, pasującą go w dalszy zawód rycerski do zwycięztw.

Do zemsty Jana Sobieskiego, którą już cały drżał namiętnie, przybyła jeszcze śmierć starszego brata, poległego w nieszczęsnej klęsce Kalinowskiego pod Batowem.

Odtąd Jan uznał i poznał, że będąc jedynym dziedzicem wielkiego majątku Sobieskich, jedynym powinien być mścicielem ich krwi. Z całym zapałem oddając się rzemiosłu rycerskiemu, walczył też we wszystkich okazyach, tak często pod Janem Kazimierzem się nadarzających.

Po nieszczęsnej bitwie batowskiej (1651), w której sam kwiat rycerstwa polskiego wycięto, — Chmielnicki połączony z Tatarami pod *Zwańcem* 1652, oblega króla i zmusza do odnowienia owych pod *Zborowem* niekorzystnie zawartych układów. Układy te utrzymać się nie mogły, bo trzy razy większa liczba niż 40,000 kozaków broni porzucić nie chciała, i biskupi grozili opuszczeniem senatu, jeśliby w nim dyzunici zasiadać mieli. Dla tego też Chmielnicki, widząc niemożebność przeprowadzenia układów zborowskich, poddaje się Moskwie, i w ten sposób rozpoczyna się z Polską nowa wojna moskiewska, z którą łączy się równocześnie i szwecka. Po zawarciu tej ugody pod Zwańcem przesłały sobie wzajemnie obydwa obozy zakładników. Z tatarskiego obozu wysłano Murtarę Agę, z naszego zaś, jedzie do nich męztwem i poświęceniem dla sprawy ojczystej odznaczający się młodzieniec, wszystkich tym czynem uwagę na siebie ściągający: Jan Sobieski. Święta miłość ojczyzny i dziedzictwo męztwa po przodkach, były mu do tego czynu natchnieniem.

Powróciwszy szczęśliwie do kraju, korzysta natychmiast z drugiej nadarzającej się okoliczności niesienia ofiary ojczyznie. W poselstwie do Carogrodu jedzie z Polski, najzdolniejszy ku tej sprawie, Bieganowski, chorąży lwowski. Ponieważ zaś nie będąc zamożnym, nie mógł obrany poseł pocztu urządzić okazale jakby należało, aby w obec Turków powagę kraju utrzymać, trzeba było, aby ktoś z zamożniejszych towarzyszył mu w tem poselstwie. Wyprzedzając wszystkich, i do tego „znowuż młody Sobieski gotów nadwerężyć fortunę dla przydania świetności poselstwu ojczystemu“ [1]).

„Jakoż powiada wspomniany wyżej Rubinkowski, we „wszelkiej nauce i zręczności wojennej (*in omni scientia* „*et dexteritate belli*), co raz znaczniey postępował, że „wkrótce regimentarzem ogłoszony, iakoby niecierpiąc „do honorów granic, odznaczając się wojennie (*per* „*Martis insignia*), niby po szczeblach do tronu postę„pował.“

Kiedy w r. 1655 podczas nieszczęsnego napadu Karola Gustawa na Polskę, wszyscy opuściwszy króla szwedzkiemu władzcy posłuszeństwo przysięgli, kiedy chroniący się król na Szlązku traci zupełnie nadzieję w odzyskanie tronu: wtedy dla Sobieskiego nadarzyła się bardzo przykrej pamięci okoliczność, o jego chwilowem jednakże tylko zwątpieniu świadcząca. Sobieski wtedy odstąpił wraz z innymi króla, i poddał się Karolowi Gustawowi. Był z nim także i książę Michał Korybut Wiśniowiecki w liczbie hołdowników Szwecyi a odstępców króla. Tak więc dwóch późniejszych królów razem przeniewierzało się ojczyznie i panującemu. Niedługo jednakże trwało to przeniewierstwo. Skoro tylko Jan Kazimierz do Polski powrócił, broniony przez dzielnych i nigdy nie wahających się bohaterów Czarnieckiego i Lubomirskiego: Sobieski, żałując swego uczynku, wrócił natychmiast do posłuszeństwa swemu władzcy, i na dowód zwróconej mu wierności walczył zaraz przeciw Szwedowi. Na uniewinnienie Sobieskiego w tej sprawie i tobyśmy jeszcze mogli przytoczyć, iż on, walcząc pod rozkazami Lanckorońskiego, rozkazów wodza swego słuchać musiał. Lanckoroński zaś przeszedł odrazu do obozu szwedzkiego, i Sobieski przeto musiał niejako go słuchać. Lecz dość o tem. Sobieski, czy winny, czy niewinny, żałował swego przeniewierstwa, i chcąc je naprawić korzystał z nadarzającej się okazyi, i na czele udzielnego hufcu zaciągnionych Tatarów mężnie odpierał Szwedów. W dalszych walkach ze Szwedami coraz pomyślniej wiedzie się Sobieskiemu. „Różne oddziały wojska polskiego w różnych miejscach i wielu, przymuszone stawić się nieprzyjaciołom, nie potykały się z tą pomyślnością jak oddział rządzony przez Sobieskiego“ [1]).

Po śmierci Karola Gustawa, dwóch jeszcze zostało Polsce nieprzyjaciół: Moskwa i Kozacy. Złączone wojska napadały Moskwę; już to w otwartem polu, już to zasadzkami, szukając zmniejszenia nieprzyjaciół; pomyślność była obustronna. Pod *Cudnowem* do formalnej przychodziło bitwy; Jan Kazimierz, osobiście wosku dowodzący, życzył jej sobie; lecz Moskwa w przewłokę czas puszczała, chcąc się doczekać złączenia z Chmielnickim. Przeszkodzić takiemu układowi była myśl wielkiej wagi, potrzeba było człowieka razem rozumnego i zręcznego do wykonania onej; Sobieski odebrał na to rozkaz; w liczbie nierównie mniejszej, jak była kozaków, napadł na nich, gdy dochodzili blisko *Słobodyszcz* na Ukrainie z taką pomyślnością, że jednych rozpędził, drugich na placu zostawił, a resztę z hersztem w niewolę zabrał, i tak tego zuchwałego przywódzcę, okutego, przywiózł Kazimierzowi. Zwycięztwo to przeraziło Moskwę wielkim strachem, i nie czekając aż zwyciężeni zostaną broń złożyli bez bitwy“ [2]). Co się zaś tyczy Sobieskiego, zwycięztwo to dopiero uspokoiło jego sumienie, dręczone wyrzutami od r. 1655, a w kole rycerstwa chlubne zjednało mu imie.

Postępując tak ciągle w sławie, bohaterskiemi zasłużonej czynami, nabierał coraz więcej wziętości i znaczenia w narodzie, a gdy imie jego i na dworze królewskim już jaśnieć zaczynało, interes Maryi Ludwiki nakazywał zjednać go dla siebie koniecznie. I wtedy to widzimy Sobieskiego w salonach królewskich, wtedy ten *polor* jego nabyty we Francyi zwraca nań uwagę dam dworskich — wtedy serce swoje gubi przy d'Arquiance, i wtedy też zostaje uczestnikiem tej partyi dworskiej, o której spomnieliśmy już wyżej.

Dziwną zaiste zdawaćby się mogło rzeczą niejednemu, jak mógł Sobieski z bohaterstwem, na polu wojennem tak zaszczytnie go zalecającem, pogodzić bohaterstwo salonów dworskich? wytłómaczy to sobie jednak każdy, kto znów przeniesie się w ówczesne obyczaje i ówczesne stosunki towarzyskie. Będzie on przekonanym, iż młody i sławny wojownik, jakim był Jan Sobieski, nie mógł być „świętszym od reszty młodzieży“, i wedle zwyczajów przyjętych stósować się musiał do wszystkiego. Inaczej nie mógłby podobać się d'Arquiance, nie mógłby pozyskać łaski królowej, więc i pojąć

[1]) Szkice Historyczne T. III. K. Szajnochy.

[1]) Coyer.
[2]) Tenże.

Maryi Kazimiery za małżonkę. Wiemy jednakże, co się też i w dalszym ciągu życia Jana Sobieskiego wykaże, co w miękkiem i sentymentalnem sercu jego było najświętszem. Mimo wszystkich czułości i miłości nie przestał on nigdy być najwierniejszym synem ojczyzny i najwaleczniejszym jej obrońcą. Gdy tego potrzeba wymagała, umiał on rozkosze wszystkie poświęcić i porzucić, i biegł za głosem najświętszej miłości, za głosem największej rozkoszy: walczyć przeciw nieprzyjaciołom swej ojczyzny, i pomścić się cecorskiej i batowskiej krzywdy na poganach!

Jednakże oprócz potrzeby pozyskania Sobieskiego dla partyi francuskiej, miała Marya Ludwika inny jeszcze, i szybkiego poparcią ze strony przyjaciół wymagający powód, dla którego obsypywała zwolenników swych łaskami, dla którego też i na Sobieskiego spływały bardzo prędko najwyższe godności w kraju. Tym powodem był jej zacięty nieprzyjaciel, spomniany już wyżej parę razy: Jerzy Lubomirski. O znaczeniu tego stosunku musimy tu słów kilka powiedzieć.

(C. d. n.)

ZIEMOWIT,

Książę Mazowiecki.

(Z podań ludu).

(Dokończenie).

VIII.

Pożal się Boże! jaki to duch człeka,
Kiedy nieszczęście tak go skarlić umie:

Ano pan Rawski taki wielki w dumie,
Taki poważny jak od trumien wieka,
Teraz, gdy z śmiercią starego Janusza
Nadzieją wielką wytężona dusza
Pękła w boleści, jak zerwana struna,
Padł — jak strzaskane drzewo od pioruna,
I klął starego aż strach słuchać było,
Aż się trup zimny trząsł pod przekleństw siłą.
Potem znów płakał, jak dziecko w powiciu,
Bo za ostatnią już nadzieją w życiu.
A kiedy w oczach słonych łez nie stało,
Zbłąkane oko o bolu gadało,
Co mu wrzał w duszy. I od chwili onej
W kłębek skurczony, jak robak skrwawiony,
Przesiedział nieraz całe dni ponury,
A przeszłość myśli wiała mu, jak chmury,
Myśli, gryzące mu życia ostatki.
I nieraz, w częstych chwilach obłąkania,
Zrywał się z wrzaskiem ze swego posłania,
I — słał swe sługi między wiejskie chatki,
I kędy we wsi jaka baba żywa,
Pytał, czy jego syna mu nie skrywa?
Od piersi matki kazał im brać dziatki,
I oni nieśli dla dziwaka księcia
Wśród płaczu matki, krzyku pacholęcia. —
Przed bramą matki za swą dziatwą w jęku,
A książę dziecko piastuje na ręku:
„A dajcież dziecku zabaw i słodyczy,
„Niech tak za swoją piastunką nie krzyczy.“
I z obłąkaną radością wśród lica
Latał przed obraz swojego rodzica,
Niańczył i śpiewał jak piastunka jaka,
Patrząc na ojca, to znów na chłopaka,
Jakby chciał sprawdzić czy podobne lice?
I kazał znosić błyszczące szablice,
Tkał dziecku w rękę, aże zapłakało,
I z trwogą na bok główkę odwracało.
„Boisz się szabli — to ty chłopskie plemie.“
I puścił z gniewem chłopaka na ziemię,
I precz ze zamku kazał go wyrzucić,
Potem padł w krzesło, i począł się smucić. —
I znowu inne podnosił ze ziemi,
Śpiewał i niańczył i bawiąc się niemi,
Mówił: „mam dziecko — bo to dziecko moje.“
To w podejrzeniach kładł je znów na ziemi,
I precz uciekał, krzycząc: „to nie moje!“

Aż go raz słudzy przed ojca obrazem
Z wiejskiem dzieciątkiem nieżywego razem
Znaleźli z rana; dziecko ściskał w pięście,
I leżał siny z óczmi otwartemi,
Jakby chciał niemi jeszcze gonić szczęście,
Co już dla niego uciekło precz z ziemi.

IX.

Na zamku okna pokryte zasłoną,
W około trumny żółte świece płoną,
Mnich śpiewa czasem, a w bogatej trumnie
Rawski pan leży, wyciągnięty dumnie.
Na żółtem czole przyschła boleść dzika.
Jeszcze po śmierci trwogę w służbie rodzi,
Służba na palcach koło trumny chodzi,
By nieobudzić z martwych nieboszczyka.

W tem z spodu zamku jakaś piosnka łzawa
Słyszeć się dała, i służbie się zdało,
Że księcia ciało w tej chwili zadrżało.

Kto piosnkę nucił? — Pod zamkiem kurzawa
Srebrna się wije pomiędzy topole,
A drogą leci ubogie pacholę,
O jasnych włosach i ze smutkiem w głosie
Coś wyśpiewuje po porannej rosie,
I jasne oczka wodzi po lazurze,
Jakby Pan Jezus sam go słuchał w górze

I święci — a tak głośno śpiewa mały,
Jakby sam jeden był na ziemi całej.

(Śpiew).

„Pod niebiosami, po czarnej chmurze
Śmiga jaskółka skrzydłem na burzę,
To głaska Rawę i piórka płucze,
To w twarde mury piersiami tłucze,
Jakby się przebić przez mury chciała,
A kwili, jakby kogoś witała.

Jaskółka lata, burz się spodziewa,
Bo się pan Rawski na żonkę gniewa,
Hehej niepróżno bije skrzydłami
O rdzawe kraty, bo za kratami
Żona młodziuchna płacze w więzieniu,
Mała dziecina spi na ramieniu.

Hej Rawski panie, Pan Bóg na niebie,
Pan Bóg na niebie — to skarze ciebie...
Żeś tak pokarał żonkę bez winy,
To i niepoznasz własnej dzieciny.“

I któż pacholę nauczył takich pieśni?
Może łzy księżnej co z więziennych pleśni
Przez twardy kamień z cicha przeciekały,
I między lud się pieśnią rozleciały,
Jak ze skrwawioną piersią gołąb biały?
Zmiękczyła kamień we łzy strojąc lice.—
Ona umiała rzewnie, cudnie mówić,
Więc i kamienie musiała namówić,
Że wygadały ludziom tajemnicę,
I lud po siołach długiemi latami
Mazowieckiego księcia klnie pieśniami

KONIEC.

Michał Bałucki.

KONKURY WIECZNIE TRWAJĄCE,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Był to właśnie dzień świąteczny, jesienny. Niebo, z lekka tylko pochmurzone, pozwalało jeszcze napawać się resztkami swych promieni; szumiące, z liścia już oberwane gałęzie nuciły jakąś smętną dumkę, jakby kwilącą za minioną wiosną, bolejącą nad ponurą przyszłą zimą. Cisza i pustka naokoło, tak kwadrująca z naszem nieraz usposobieniem rozstrojonem, posępnem, rozdrażnionem, a które, będąc wiernem odbiciem stanu naszej duszy, sprawia, iżbyśmy wtenczas najpromienistszego nieba, najprzyjemniejszego wietrzyku, najbardziej nawet malowniczych widoków znieść nie mogli. Wandzia pierwszy raz również zastanowiła się nad tem — pierwszy raz z jakiemś zajęciem popatrzała na te ogołocone drzewa, na opustoszałe pola, i zdawało się jej, że natura żywym głosem przemawia. Bo też pierwszy raz w życiu zaniepokoiła się o kogoś, przelękła się czegoś, zadrżała z moralnej pobudki, z bojaźni nieszczęścia bliźniego, a więc je już i pojmować zaczynała. Dusza ocknęła się z sztucznego letargu, zaczynała grać i cierpieć. W drodze jeszcze bardziej przestraszyła się groźby rodziców, strasznie jej było pomyśleć, że ta siwa głowa starej krewnej gdzieś tułać się będzie musiała; że z rozpaczą szukać będzie litości u obcych, wygnaną będąc od swoich. Tak, od swoich, od jej rodziców, ludzi bogatych! I znowu zadrżała, przeczuwając w tem postępowaniu srogość, a w srogości grzech i karę Boską, mogącą spaść na nich. Ta rozbudzona świadomośdobrego i złego uzbroiła ją nagle w energię i dobrć wolę, pragnąc świadczyć w tym wypadku zagrożonymą ratować ich.

Przyspieszyła kroku — już, już dochodziła do domku, gdy nagle posłyszała za sobą tentent galupującego konia. Zwróciła się i ujrzała Michasia, zeskakającego w tej chwili i kłaniającego się z daleka po kilka kroć czapką.

— P. Wando! słówko — dalibóg, że ważne!

Wandzia się zatrzymała, ale jej nie na rękę była ta zwłoka.

— Nie przeszkadzam pani, choćbym chciał szczerze...

— Jakto przeszkadzać?

— Niech Bóg broni, tylko odprowadzić panią, lecz co innego chciałem powiedzieć, oto.... czy to rzeczywistą prawdą, że mama, to jest państwo macie zamiar wyjeżdżać?

— My wyjeżdżać? nic o tem nie wiem dotychczas, ale zkądże to panu przyszło?

— Słyszałem w sąsiedztwie, gdzie p. Mateusz opowiadał, że pan Michał zniechęcony stanem dzisiejszej rzeczy... postanowił wyjechać za granicę z całym domem.

— Nic, nic niewiem — odrzekła zamyślając się Wandzia, i dążąc ciągle ku domkowi.

— Oh toby było okropnie p. Wando, cóżbym ja wtedy robił?!...

— Pan? a to dla czego?

— Tak, pani tego nie wiesz i nie domyślasz się; ale ja cierpię, cierpiałbym, bo niebyłbym w stanie jechać za wami, a cóż mi po życiu, gdybym pani widzieć nie mógł.

Głos drżał prawdziwem wzruszeniem, Wandzię przejęło jakieś uczucie litości, a dziś była doń więcej niż kiedy usposobioną, — odrzekła jednak tylko, niemogąc sobie zdać z tego sprawy:

— Niewiem, niewiem, co to znaczy, lecz.... teraz darujesz pan, muszę z Antosią pomówić.

I uchyliła drzwi od pierwszej izby, w której pani Sternicka z Antosią siadywały, a Michaś za nią tuż, tuż podszedł, w zamyśleniu niewiedząc o tem.

W izbie przy samym oknie siedziała Antosia jedną ręką oparta na stole, w drugiej trzymając ołówek, którym wskazywała litery klęczącej przy niej małej dziewczynce. Za nią w głębi przy rozpalonym ognisku na kominie siedziała matka w poręczowem krześle, oparta na poduszce, na kolanach trzymając książkę nabożną, a ręce na krzyż złożone na niej — oczy zwróciła na córkę — na swoje najukochańsze dziecko, któremu już od godziny

przysłuchuje się, jak uczy drugie mniejsze cierpliwie i niezmordowanie; a patrząc się tak, duchem jej swoim błogosławi za tyle pracy, poświęcenia, za tyle szczerej ochoty czynienia dobrze starej matce i bliźnim. A patrząc się tak, nie czuje nawet jak z gorącą duszy modlitwą spłynęły dwie gorące łzy z oczu, i polały się po bladych policzkach, — a patrząc się tak, zapomniała o wszystkiem, w myśli swej ubierając jedynaczkę swoją w najpyszniejsze szaty łask Bożych, w najroskoszniejsze chwile radości.

W tej to chwili uchyliła drzwi Wandzia, i pierwszą rzeczą, którę ujrzała, były łzy matki. Stanęła, nie mogąc oczu od tych łez oderwać, niechcąc oddechem przerwać tak uroczystego rozrzewnienia. Toż za jej plecyma ukazał się Michaś równie dziwnie tknięty i wzruszony tym widokiem.

Nareszcie przystąpiła bliżej, Antosia z miejsca się zerwała, witając Wandzię, lecz zaraz zmięszana cofnęła się ujrzawszy Michasia.

— Pani daruje — uprzedził Michaś — żem śmiał odprowadzając p. Wandę, przypadkiem, nieproszony przyjść aż tutaj.

Antosia potrzebowała tych przeprosin, bo nigdy jeszcze tak pomięszaną nie była. Poprosiła jednak siedzieć Michasia i Wandzię, która jednak natychmiast pobiegła ucałować ręce p. Sternickiej.

— Przerwaliśmy pani naukę mozolną — zaczął Michaś.

— Mozolną, bynajmniej, bo już się do niej przyzwyczaiłam, a zresztą ten mozoł opłaca się widocznym postępem moich uczennic.

— Tak, więc się chętnie uczą? to pocieszające i rzadkie zjawisko, i widocznie przypisać je muszę nauczycielce.

Nadzwyczajnie ten komplement spodobał się Antosi, spojrzała śmielej teraz na mówiącego, a choć to było przelotne spojrzenie, przekonała się, że on mógłby się więcej jeszcze niż komplement podobać.

Zaczęli żywszą gawędkę, gdy w tem Wandzia powracając wzięła Antosię za rękę, prosząc ją na kilka słów rozmowy. Wstał przeto Michaś, przepraszając jeszcze raz, i wyszedł.

Nieznacznie wyciągnęła Wandzia Antosię na przechadzkę, co się jej tem bardziej udało, że ta ostatnia nigdy jeszcze w takiem roztargnieniu nie była; pierwsze też jej słowo było:

— To bardzo dobry chłopiec być musi ten p. Michał... taki ma słodki wyraz twarzy.... nigdyś mi o nim Wandziu nie mówiła...

— Bo i cóżbym mogła o nim powiedzieć, lubię jego towarzystwo więcej niż innych, to wszystko.

— Musi być zajmującą jego rozmowa — odrzekła znów Antosia, bo szczerość patrzy mu z oczu.

— Oo! — zawołała zdziwiona Wandzia — takżeś mu już w oczy zajrzała! jednak masz racyę, szczery i serdeczny, a nawet przed chwilą mówił mi takie słowa, że aż mi się go żal zrobiło.

— To cię kocha? zapytała skwapliwie Antosia.

— Kocha?... a... to być może... ale nie po tom tu przyszła. Antosiu wprost ci powiem, rodzice zagrozili mi, że jeżeli u was bywać będę, to was wydalą; szczególniej się niepodoba twoje nauczanie we wsi, trzeba więc radzić, trzeba się wyrzec tego, skoro to nie jest z ich wolą, a przynajmniej ja na chwilę bywać przestanę, żeby was od złego uchronić—o strasznie mi przykro!... lecz jeszcze Antosiu nie przerażaj się, to nie wejdzie w czyn... Antosiu, mówię ci, to nic... — i pochwyciła za rękę zbladłą i drżącą dziewczynę.

Zbladła ona, bo pierwszą myślą u niej była matka bez przytułku, ledwo po chwili mogła wybąknąć:

— Tak, zaklinam cię Wandziu, nie bywaj u nas, tobie ztąd tylko urosną nieprzyjemności, a nam rozpacz bez granic. Boże mój, Boże, cóżeśmy im zawinili!

Obie głośno zapłakały, jedna za matką, druga może na matkę, ale te łzy złączyły ich teraz silniejszym jeszcze węzłem, aniżeli zwykły bywać łzy pokrewieństwa.

Uścisnęły się serdecznie, a Wandzia znów rzekła:

— Nie masz się czego obawiać, bo podobno i wyjeżdżamy, o czem ja dowiedziałam się dopiero od p. Michała, wyjeżdżamy zapewne na dłużej za granicę, — o gdybyś wiedziała Antosiu, że i to mnie martwi, bo tu przynajmniej miałam ciebie i kąt swój, do którego przywykłam, a tam między ludźmi obcymi nie znajdę nikogo, nie znajdę nic, prócz zabaw samych nużących mnie tylko.

— Nie troszcz się Wandziu, znajdą ci może rodzice człowieka, który ci zastąpi świat cały, a nawet sama wiem o tych, którzy tu u was bywali, że bywali nie bez celu, np. p. Julian, Lucyan i inni... słyszałam że się nawet oświadczali o twą rękę.

— Tak, lecz cóż mi z tego? czy ja ich znam, czy ja ich pojmuję, jeden z nich nie mówił ze mną nic prawie, drugi mówił bardzo wiele, a przecie do żadnego z nich nie czuję nawet tego pociągu, aby módz słuchać cierpliwie, a tu podobno chodzi o całe życie, długie, długie życie, bo to, którem teraz przebyła, daje mi miarę przykrości przyszłego...

— Wandziu, co ty mówisz; takie dziecko, a już ci się życie przykrzy? ucz się, czytaj, zajmuj się w domu ręcznemi pracami a czas tak ci przejdzie, a chwile tak płynąć będą, że szczęście które cię spotka nie odurzy cię najmniej, a nieszczęście nie znajdzie nieprzygotowanej; wierz mi, myśmy równie stworzone do pracy w naszym zakresie, wierz mi, że praca to jedyny wielki balsam na wszystkie cierpienia, ona zajmie cię naprzód mechanicznie, a potem, wsiąknąwszy w duszę, przeniknie ją i nada jej hartu, któregobyś nadarmo w marzeniach i próżnej rozpaczy szukała.

— A teraz kiedy wyjeżdżam, jakąż się pracą zajmę?

— Korzystaj z obcych miejsc, wszędzie coś godnego widzenia jest; patrz, zastanawiaj się, przetrawiaj w swojej duszy, a wypływająca z tego refleksya wyrobi ci ów spokój niezbędny, i zasieje nieraz drogę kwiatami prawdziwych pociech... czyż ja sama, inaczej żyłabym wesoło na świecie, ja, która z starą matką zostawać muszę na łasce dobrych ludzi, Bóg wie jeszcze jak długo...

— O tak, święte twoje słowa — z zapałem wykrzyknęła Wanda — kocham cię teraz jak siostrę, niezapomnę słów twoich, choćbym iść musiała mimo woli mojej tam, gdzie mi przeznaczono.

Wzięły się obie pod ręce i wracały ku domowi. Już obie łzy otarły, obie się uśmiechały, wesoło patrząc na siebie, i prawie zapomniawszy powodów niedawnych łez wspólnych i niedoli. Dochodząc do domu, stanęła jeszcze Antosia i po cichu spytała:

— Cóż ten p. Michał? — i wlepiła w Wandzię oczy— ty go *pewnie* nie kochasz?

— Nie, nie, moja nauczycielko — odśmiała się Wandzia — ale zapytam się go, co on też myśli o białym domku, w którym 16letnia panna Antonina uczy poważnie 12letnie dziewczątka...

Jeszcze głośniej Wandzia zachichotała, Antosia zaś nic nie mówiąc uścisnęła jej mocno rękę.

(C. d. n.)

UŁAMEK Z PODRÓŻY
DO AZYI MNIEJSZEJ,

przez

Seweryna Korzelińskiego.

(Dokończenie)

Po nocy dosyć niespokojnie przepędzonej, bo jakby w ciasnej kołysce dziecięcej, już dobrze się rozedniało, kiedy dwoma strzałami działowemi przebudzony zostatem. Niewiedząc jakiej przyczynie przypisać poranne salwy, ubrałem się jak najprędzej i wybiegłem na pokład. Gęsta mgła otaczała okręt, i nietylko brzegów, ale na dziesięć kroków nic widzieć nie można było. Dowiedziałem się, że strzałami jakby zapytywano, czy daleko od lądu znajdujemy się? lecz żadna odpowiedź z nikąd nie przychodziła. Ciszę przerywał tylko szum parowej maszyny i huk bałwanów rozbijających się o borty okrętu. Czas był, podług wyrachowania, zbliżania się do cieśniny; lecz godziny mijają, wiatr mocniejszy powstaje i wieczór nadchodzi, a my bujamy po Czarnem morzu Bóg wie w jaką stronę, bo kapitan pewnie nie wie, choć tysiąc razy może przejechał się już z Warny do Stambułu i napowrót. Turek spuszcza się na wolę Boga i niewiele zadaje sobie pracy obznajomienia się z kwadrantem i busolą. Busolą jego są brzegi, podług których kieruje okręt, jeżeli je widzi; kwadrantem zaś na tureckich okrętach zwykle bywa stary marynarz, obznajomiony praktycznie z gwiazdami, wiatrami i różnemi zmianami meteorologicznemi. Ten właściwie dowodzi na okręcie, bo komendant fajkę pali, kawę pije i rodzajem różańcu bawi się, przekładając go z ręki do ręki. Zresztą naco Turkom nauki żeglarskiej! jużci Warna nie tak daleko jak Buenos Ayres, Kalkuta albo Melbourne, a morze Marmora nie Ocean; dalej jak w Archipelagu greckim i przy brzegach Turcyi Europejskiej i Azyatyckiej effendowie nie awanturowali się. Ten sam kapitan Izet, odwożąc ziomków moich do Malty, dwa razy zbliżał się do brzegów Sycylii, a tam, gdzie mu potrzeba było, żadnym sposobem trafić niemógł.

Noc była przykrzejszą niż poprzedzająca. Przeminęła ona przecie, ale dzień żadnej nieprzyniósł odmiany w naszem położeniu. Niektórzy wnioskują, że się znajdywać musimy koło Odessy albo Sebastopola, inni że płyniemy do Trebizondu, a najmniej cierpliwi utrzymują, że Turek jednooki do piekła nas wiezie. Przykro wprawdzie pływać po morzu dnia trzeciego, kiedy w 18cie godzin podróż miała być skończoną; ale cóż pomoże niecierpliwienie się lub narzekanie w obec konieczności. Gdyby wysiąść można z okrętu podług upodobania, jak z dorożki kierowanej przez niezręcznego woźnicę, to by się gniew przydał może; ale trudno powiedzieć nie umiejętnemu Turkowi: „Stój Izecie, ja wysiędę", kiedy morze nie chodnik, a kapitan nie furman.

Tymczasem noc trzecia się zbliża. Izet stoi na ławce komendanta, lecz wydawane rozkazy niemogą uspokoić strwożonych umysłów ludzi, za nadto dobrze obznajomionych z niedołęztwem marynarzy tureckich. Ciemno się robi, bałwany rosną, śnieg padać zaczyna, maszty skrzypią, a ściany okrętu trzeszczą w uściskach burzy. Morze Czarne, jak wiadomo niebezpieczne, bo w wielu miejscach skały, wznoszące się nad powierzchnią wód i w znacznej odległości od brzegów, zagrażają rozbiciem; więc niemało powodów do wzniecenia trwogi. Szczęśliwy, komu w podobnym położeniu sen ulgę przynieść może. Ja nie spię. Trzymam się łóżka, by się niestoczyć na ziemię, i zazdroszczę wszystkim pozostałym na lądzie, robiąc najmocniejsze postanowienia nigdy więcej nie siadać na okręt, jeżeli mi Opatrzność dozwoli wyjść cało z pod opieki tureckiego kapitana.

Dla nieobznajomionego z podobnemi wypadkami noc ta była straszną; ale czyż się ona mogła porównać z tylu innemi najokropniejszemi, przepędzonemi później na Oceanach w podróży do Australii, i napowrót do Europy!...

Już się dzień zbliżał, lecz jeszcze szaro było na dworze, a ruch ustawiczny przez noc całą trwający, nieprzestawał na pokładzie, Rozmyślałem właśnie o przyczynie takiej ruchliwości Turków, kiedy jenerał Dembiński, który mnie do swojej kabiny przyjął, zawołał:

— Śpisz?...

— Nie. — Wstydziłem się powiedzieć, żem całą noc niespał; bo jak się tu przyznać do brzydkiego słabego usposobienia nerwowego przed człowiekiem, który za wzór odwagi w najtrudniejszych przypadkach służyć może! Krótka więc moja odpowiedź, z obojętnością niby wyrzeczona, dała powód do dalszej interpelacyi.

— Więc słyszysz, że już więcej jak dwie godzin pompują wodę?

— Słyszę stukanie, skrzypienie i chodzenie; ale tego wszystkiego nie rozumiem.

— To wszystko oznacza, że przez szpary starego naszego okrętu dużo wody się sączy.

— To okręt może zatonie?

— Tylko wtenczas, gdyby pompy mniej wyciągały, niżby przybywało — odrzekł spokojnie jenerał i zażył tabaki. To mnie uspokoiło, bo jenerał odbywając poprzednio podróże morskie, wiedział że nam niebezpieczeństwo nie zagraża.

Czwarty dzień tedy wozi nas Izet po Czarnem-morzu i daremnie szuka Bosforu. Gdyby przynajmniej czas był znośnym, to by można na pokładzie parę godzin przepędzić, i nudzącą jednostajność przerwać; ale tam na dworze wietrzno, a gęsto padający śnieg pokrywa maszty, pokład i wszystkie części okrętu. Więc się błąkam po salonie, zaglądam do kabin, dowiadując się o zdrowie mieszkańców, z tym lub owym zagadam, by coś przecie robić, i w myśli życzę Izetowi siódmego nieba jak najprędzej, by siedząc pośród hurysek nie miał więcej sposobności biednych ludzi męczyć na morzu. Życzliwe moje chęci dla kapitana ledwie się nie przeistoczyły w dokonany fakt dla nas wszystkich, przenosząc całą załogę okrętową w owe nieznane światy, gdzie Mahometanom pieczone gołąbki same wlatywać mają do gęby, podług obietnicy proroka, a dla nas!.... wymierzoną ma być nadgroda za gładkie i poczciwe przejście przez ścieżki żywota, a kara za częste na niej utykanie.

Niegodziwe powietrze wszystkich pozapędzało do kabin. Na pokładzie z tyłu okrętu stał sternik, kręcący kołem, by okręt w nakazanym utrzymać kierunku; dwóch lub trzech pasażerów którym zanadto było duszno, i u pupy (na przodzie) warta, ale warta turecka. Ta w czasie pokoju niewiele zadaje sobie pracy w wypełnianiu obowiązków; szyldwach, najczęściej oparłszy karabin o ścianę, siada wygodnie i robi pończochę na drutach drewnianych, wiedząc że giaur niepoważy się przekroczyć granicy miejsca, pieczy jego powierzonego, ani dotknąć się własności srogiego pana swego. W czasie wojny inaczej się dzieje; w okopach Kalafatu i w Silistryi dosyć czujni byli Turcy w 1854 roku. Czas podróży naszej nie był wojennym, a my wiezieni do Azyi wprawdzie ale bez pałaszów, bo broń wszelką złożyć musieliśmy wstępując w granice Wołoszczyzny koło

Orsowy, niebyliśmy niebezpiecznymi. Przytem wiatr miotał w same oczy, więc dosyć powodów było dla Turka stojącego na warcie, by spokojnym być o siebie, o nas i o okręt. Zawinął też poczciwiec głowę płaszczem i przysiadł za bartem z przekonaniem, że oczy jego i czujność niewiele się przydadzą w momencie, jeżeliby Ałłach nakazał zniszczenie Yahiri Bahri.

Było już koło 10tej, a ja grałem w karty z jenerałem, które za każdem gwałtowniejszem pochyleniem okrętu zsuwały się ze stolika, trzeba je było łapać na podłodze, i przy tej operacyi czołem trącić o ścianę, lub o jaki sprzęt. Więc zabawa wcale nie była zabawną. Aleśmy się bawili dla zabicia czasu tak, jak nieraz bywa w salonach przy herbacianym stoliku, gdzie towarzystwo bawi się poziewając ukradkiem. Właśnie skończyłem liczyć sekwensy w pikiecie, i już szło dalej: trzy króle, trzy da... przeraźliwe wstrząśnięcie na pokładzie niedało mi dokończyć: my, hałas, bieganie i wrzawa powstały okropne. Porwałem się z miejsca i w mgnieniu oka wybiegłem po schodkach na pokład, gdzie tłum pasażerów i Turków już był zebrany; w ich twarzach wybladłych przestrach czytać można było. Podniosłem oczy, a mróz przeszedł mi po kościach, dusza była na ramieniu. Na lewo z głębi morza wznosiła się czarna skała tak blisko okrętu, że mi się zdawało, iż ją ręką z pokładu dosięgnąć mogę. Szczęściem było dla nas wszystkich, że skała nierozpościerała odnóg kamiennych na około siebie, i że czujne oko jednego z Polaków, Łonieskiego, znajdującego się pod ów czas na pokładzie, dosyć ją wcześnie spostrzegło, by prosto na zagubę pędzący okręt mógł być jeszcze, przed ostatecznem zetknięciem odwróconym.

Czernichów d. 10go sierpnia 1860 r.

TEATR.

Grono naszych artystów wróciwszy z dość długiej wędrówki, na której uzbierać miało laury chwały i zasługi, rozpoczęło u nas d. 12go t. m. przedstawienia *Zemstą* Fredry. Wybór tej, aczkolwiek dobrze już znanej sztuki, świadczy o sądzie dyrekcyi, po którym się więcej podobnych sztuk spodziewamy; — na intermezza zaś, aż do tej pory zapełniane trochę archeologicznemi a nie zbyt wybrednemi zabytkami, na te intermezza nacisku kłaść nie chcemy, ze względu zwłaszcza, iż oryginalne a polecające się, jak słyszymy, czekają nas dramata i tak podobno d. 23 tm. J. Szujskiego *Halszka z Ostroga*. O postępie gry artystów nic dotychczas sądzić jeszcze nie można.

Wiadomość literacka.

Nakładem komisyi wydawnictwa w Towarzystwie gosp. u Winiarza we Lwowie 1861 r. wyszła: *Złota księga, w której zawarte są przykłady cnót chrześciańskich, ludziom ku nauce i zabawie*. 8vo str. VIII i 175.

Redakcya „Dzwonka“ w nadesłanym do „Dziennika Polskiego“ artykule, zaleca wymienioną książkę dla ludu, przytaczając, że „zawiera w sobie wdzięcznie skreślone „opowiadania tak czysto moralnej jak i hi„storycznej treści. Czystością i prostotą „stylu przypomina ta książeczka (ciągle „mówi redakcya) bardzo swego czasu ce„nione utwory Hofmanowej: sądzimy więc „że i podobne błogie skutki wywrzeć jest „w stanie.“

U Karola Wilda we Lwowie kosztuje ta książka 42 centy, w kancelaryi Towarzystwa gosp. galic. 35 centów.

My książki tej do złych zaliczyć nie możemy, zaliczamy ją nawet do dobrych; lecz nie dla naszego ludu, który dla jej zrozumienia koniecznie przygotowawczych wiadomości potrzebuje. Nawet język *Złotej księgi*, aczkolwiek jasny, nie jest wszędzie jasnym dla ludu naszego wiejskiego.

Naszem zdaniem Szanowna Komisya wydawnictwa powinna przedewszystkiem zająć się ułożeniem elementarnej książki, w której powinny być umieszczone obok dobrego katechizmu przygotowawcze wiadomości z historyi i geografii powszechnej a w największej ilości z krajowej, także z historyi naturalnej, fizyki i agronomii. Takiej książki niemożna wprawdzie ułożyć za chwilę, ależ bo też taka książka potrzebna jest na długie, długie czasy. Nie rozpisujemy się dłużej o *Złotej księdze* i o podobieństwie jej stylu, do stylu pism z Tańskich Hoffmanowej, bo tak o tej księdze, jak i o pismach wspomnianej autorki, da Bóg, po nowym roku 1862 obszernie pomówić postanowiliśmy.

Opisanie ryciny mód paryskich za miesiąc listopad:

(Dołączyliśmy rycinę mód przy Nrze 45).

Ubranie pierwsze: Suknia z pou de soi karmazynowego, do gorsu ubrana z przodu czarnemi koronkami, szarfa czarna jedwabna haftowana i obszywana frendzlami, rękawy otwarte, szmizeta i rękawki z białego batystu w bufy.

Tualeta jesienna. *Ubranie drugie:* Suknia szafirowa grodenaplowa, ubierana aksamitnemi guzikami z aksamitną plisą. Burnus z czarnego aksamitu z koronkową peleryną, zarękawek sobolowy. Kapelusz z aksamitu szafirowego z takiemże piórem i koronkami.

INSERATY.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**